

**Ewa Pobłocka**

## **DZIENNIKI JAPOŃSKIE (1)**

### LOT Z HELSINEK DO TOKIO, 6–7 PAŹDZIERNIKA

Stewardessa pewnych skandynawskich linii lotniczych była tak uprzejma i miła, że przekonała mnie do zjedzenia śniadania o godzinie pierwszej w nocy, mimo że nie byłam głodna. Podróż w klasie biznesowej chyba zawsze wprawia w dobry humor. Pomijając szampan na powitanie, wybór win do posiłków, jest jeszcze kwestia dyskretnej różnicy między plastikową, a fajansową zastawą – na rzecz tej drugiej. Zawsze podczas lotu nadrabiam zaległości filmowe na osobistym ekranie. I jak zawsze, odrywając oczy od kolejnej fabuły, nie mogłam się napatrzeć na zachód i wschód słońca ponad chmurami, na intensywne fiołkowo-wrzosowe kolory, które pamiętam od czasu pierwszego lotu do Tokio. Ćwierć wieku temu.

### NIEDZIELA, 10 PAŹDZIERNIKA

Jeżdżę do Japonii od 25 lat. Byłam tu naście razy. Niestety, nawet dokładnie nie pamiętam ile. W pewnym momencie bałam się, że ten obecny to trzynasty, więc wołałam cyfry wyrzucić z pamięci. Mimo wielokrotnych pobytów, jeszcze nigdy nie wybrałam się w niedzielę do parku. W ogóle pojęcie dnia wolnego nie istniało! Bo jeśli nie koncert, to próba albo własne ćwiczenia, albo podróż, albo lekcje lub wywiady. Do tej pory w parku w Japonii byłam tylko raz (w pośpiechu, bo trzeba było zdążyć na samolot). Zdarzyło się to na początku tego roku, w styczniu, w Kanazawa – jednym z najstarszych miast w Japonii. Nie grałam tam koncertu, ale prowadziłam *masterclasses*, a mój agent, który stamtąd pochodził, chciał mi koniecznie pokazać to piękne i inne niż pozostałe miasto. Ogrody w Kanazawa – nadzwyczajne, zadbane, z zupełnie nieznaną mi roślinnością, mimo zimowej pory na niektórych drzewach widać było już pączki kwiatów. Oczywiście wkoło sporo turystów i wszyscy tak jak my robili zdjęcia, zwłaszcza w specjalnie na to wyznaczonych miejscach – na mostku, obok mostka, za mostkiem, przed mostkiem, w grupie, samodzielnie, z drzewem, z latarnią, z widokiem na ścianę drzew. Ale najlepsza jest fotografia pod mostkiem upamiętniająca czterech mężczyzn idących gęsiego i zamiatających rzekę. Tak! Taki był właśnie widok. Tym razem spod mostku, do którego zmierzaliśmy, widać było kilka męskich głów w czapkach wykonujących jakieś dziwne ruchy. Powoli wynurzały się ramiona, kurtki, wysokie gumowe buty i miotły. Panowie tak zamasyżycie zamiatali dno rzeki, jakby chcieli odwrócić jej bieg. Widok był tak niezwykły, że staliśmy dłuższą chwilę, pękając ze śmiechu.

A dziś wizyta w parku tokijskim „The WAKA poetry garden” – Rikugien Park – w środku ruchliwej dzielnicy za murem. Wstęp kosztuje trzy dolary. Nieopodal wejścia uroczy staw, a na nim wysepki, wiele alejek, mostków i maleńkich pijalni herbaty. W stawie i rzeczce pływają karpie – kolorowe, białe-szaro-brunatne jak u nas i pomarańczowe niczym złote rybki, tyle że olbrzymie. Zachowywały się jak tresowane delfiny. Spacerowicze rzucali im chleb, o który dość agresywnie walczyły. A obok nich całe rodziny żółwi. Jakie piękne! I wcale nie pływały tak powoli... Przekrzywiały cudne małe główki i przebierały łapkami, bo przecież nie płetwami. Podziwiałam ich skorupy wyglądające jak rzeźbione tarcze, czy może nawet grafiki – symetryczne wzory, jasne na ciemnym tle.

Bardzo lubię drzewka Bonsai – zawsze swoim kształtem wyróżniają się spośród innych drzew. Niestety nie znam nazw tych wszystkich roślin występujących w Japonii. Odróżniam, i owszem, palmy i bambusy, i tyle. Na czymś w rodzaju trawników rosła masa grzybów, a ich zapach przypominał polskie lasy jesienią. Czy grzyby wszędzie jednakowo pachną? Za to ziemia wszędzie pachnie inaczej. W Tokio dziś, w październikowe południe, ziemia pachniała dojrzałą wilgocią, oddawała wciąż jeszcze ciepło minionego lata, ponoć wyjątkowo gorącego. A publiczność w parku – jak wszędzie: kilka grup wycieczkowych, rodzice z małymi dziećmi i emeryci. Wszyscy z uśmiechami na twarzach i zachwytem nad kolorami nadchodzącej jesieni.

## 14 PAŹDZIERNIKA

Najbardziej lubię w Japonii przyglądać się osobom, które nie zdążyły na pociąg. Biegają po schodach z nadzieją, że im się uda, a tu słychać już dzwonek sygnalizujący zakaz wsiadania. Mimo to biegają szybciej, w końcu przed samym nosem drzwi się zatrzymują, wagoniki stoją jeszcze kilka sekund, wreszcie odjeżdżają i nawet na japońskich twarzach malują się rozczarowanie i złość. Oni, zawsze tak uprzejmi, potrafią się zezłościć. Czasami ktoś udaje, że wcale mu nie zależało. Przeklinania na głos nie usłyszałam (może w cichości tylko). Obserwując taką osobę, nie odczuwam *Schadenfreude*, to tylko obserwacja. Te twarze kiedyś wydawały mi się wszystkie jednakowe – japońskie, „skośne”. Teraz po latach widzę w nich różnice i tak jak wszędzie, u wszystkich – dusza człowieka maluje się w oczach. Szczególnym przypadkiem są Japonki, te farbowane blondynki ze sztucznymi rzęsami, na gigantycznych obcasach, w krótkich spodenkach i z lisią kitą przy boku (widać teraz taka moda). Przy komórkach mają dziesiątki świecidełek, dzwoneczków, kotków, a w oczach – pustkę, bo nawet nie „nicość”.

## NIEDZIELA, 18 PAŹDZIERNIKA

Zupełnie nieoczekiwanie znów mam wolny weekend. Postanowiłam więc rozejrzeć się po okolicy. Moja asystentka powiedziała, że w pobliżu stacji kolejowej Sugamo, gdzie mieszkam, jest bazar. Nigdy przedtem w Japonii nie byłam na bazarze. Zdarzały się i owszem zakupy w *departament store*, czyli naszych domach towarowych, ale bazar?

Trafiłam na długą ulicę, gdzie sklepik przy sklepiku i same „bazarowe” towary. Mydło i powidło – jak powiedziałoby się u nas. Stragan z przeróżnymi skarbami morskimi; ryby suszone, muszle, trawy i glony, obok tego sklep z herbatą, a przed nim na straganie maleńkie czarki z próbkami tejże zielonej herbaty. Teraz, po latach, już rozróżniam jej smaki. Za sklepem herbacianym drogeria, a przed nią krzyczący wniebogłosem pracownik tegoż sklepu – ten krzyk to zaproszenie do wejścia, taka reklama, raczej odstrasząca... Co kilkadziesiąt metrów pojawia się budka z napisem „wszystko za 100 jenów”, a tam skarby – do kuchni, do ogrodu, artykuły papiernicze (i tu wzrok mój padł na kartki, karteczki, kopertki, naklejki, ale byłam dzielna, nie dałam się skusić, chociaż kilka miseczek – oczywiście do niczego niepotrzebnych – było ślicznych). Za parę metrów znów sklepik z różnymi słodyczami; kasztany w cukrze, ciastka ryżowe w kilkudziesięciu gatunkach, galaretki. Ciastka ryżowe uwielbiam, są chrupiące jak orzeszki, lekko słonawe i niektóre z nich smażone, na wierzchu zaś cienka skorupka z zastygłego jakby sosu winegret czy jakiegoś doprawionego octu. Tu niestety zaszalałam, postanawiając, że tylko jedna paczuska na tydzień. Było też kilka sklepów ze „sztuką japońską”. Ot, taka niby-cepelia. Wyroby ze słynnego japońskiego papieru, z laki – lalczki, chusteczki, ręczniczki (wszystko piszę zdrobniale, bo na ogół te rzeczy są małe). Czasem zdarzają się w tych sklepach „designerskie” ubrania z jedwabiu czy bawełny – ciekawe, ale też na ogół w małych rozmiarach. Przed jednym z takich właśnie sklepów stała Japonka dość dużej postury, która podobnie jak chłopak spod drogerii zapraszała, aby wejść do środka. Głos miała już bardzo zachrypnięty, ale powtarzała te swoje zadane słowa reklamy jak jakąś mantrę, wierząc w jej skuteczność. Wzrok utkwiony w przestrzeni, wydawało się, że zaraz się uniesie... I w tym momencie ktoś wychodzi z zakupami, przerywa więc tę mantrę i bardzo przytomnie krzyczy „dziękuję”. Tego słowa, czy raczej wyrażenia – „arigato” – jest wiele odmian w języku japońskim i przybiera ono krótką bądź kilkuczłonową formę w zależności od tego za co, komu i w jakim momencie dziękujemy. Wciąż staram się w tym zorientować i powiedzieć odpowiednie słowa w odpowiednim czasie do odpowiedniej osoby.

Sklepy z odzieżą i butami bardzo nieciekawe – wszystko sztuczne, jedwabiu ani na lekarstwo, więc nawet tam nie zaglądałam. Natomiast zawsze mnie intrygują miejsca, znad których unoszą się ciekawe zapachy. Na ogół są to przestrzenie wokół świątyń, sklepy typu „dewocjonalia” – można tam zaopatrzyć się w pachnące świece, kadzidelka itp. Okazało się więc, że w pobliżu jest świątynia. Przy niedzieli kręciło się tam wiele osób – próbowałam dowiedzieć się czegoś po angielsku, ale niestety nikt nie mógł mi wyjaśnić, co to za miejsce. Dopiero następnego dnia na uniwersytecie asystentka wyszukała w Internecie, że w Togenuki-Jizo świątynia buddyjska nazywa się Koganji. Ponoć mnóstwo ludzi tam pielgrzymuje (czy to dobre określenie?), wierząc w cudowne uzdrowienie (między innymi). Rzeczywiście, zauważyłam przed świątynią wiele stolików, a przy nich lekarzy i pacjentów, mnóstwo słoików i słoiczków, proszków, maści i innych tajemniczych przedmiotów. Przy samym wejściu stało dwóch mnichów w – jak ja to nazywam – „chińskich” kapeluszach i typowych

strojach. Czynili oni podobne naszemu błogosławieństwu gesty wobec osób, które do nich podchodziły. A podchodzili i młodzi, i starzy, i kobiety, i mężczyźni, czasem dzieci. Zaraz potem udawali się do wielkiego naczynia, kotła kamiennego, skąd wydobywały się jakieś opary, w których zanurzali w dłonie, a następnie rozprowadzali lotną substancję po ciele. Fascynujące, chociaż dziwnie się czułam, przyglądając się temu wszystkiemu. Nie chciałam być nachalnym gapiem, weszłam więc do świątyni. A tam niby-ołtarz, przed nim świece, malowidła, smoki, kwiaty, Budda i mnisi, ale jacyś inni, inaczej ubrani. Uwijali się po cichu, krzątali. Przed bramą ustawiono duży pojemnik, bo nie skarbonkę, do którego wierni wrzucali monety, czyniąc przy tym wiele hałasu. Atmosfera skupienia, ale mimo wszystko nie przypomina naszych kościołów. Zupełnie obca kultura, intrygująca. Więc kiedy już będę na emeryturze, to oprócz tego, że nauczę się jeszcze kilku języków obcych, poznam Meksyk i opanuję obsługę komputera, postudiuję sobie także kultury i religie Dalekiego Wschodu.

#### PIĄTEK, 22 PAŹDZIERNIKA

Za mną kilka dni pracy. Rano ćwiczenie w domu i przygotowania do zajęć ze studentami, popołudniami lekcje na uniwersytecie Geidai. W nagrodę za dobrą pracę dziś wycieczka do centrum Tokio. Najpierw godzinka w piętrowym autobusie, podczas znanego ze wszystkich ciekawszych miejsc na świecie zwyczaju *sightseeing tour*. Oczywiście przewodniczka opowiadała po japońsku, ale ponieważ również śpiewała, było śmiesznie i ciekawie. One tu śpiewają takim cienkim, drżącym głosikiem i bardzo trudno się domyślić o czym. Cóż to jest godzina na tak gigantyczne miasto jak Tokio? No ale podjechaliśmy pod cesarskie ogrody, widzieliśmy słynną Tokio-Tower, nowe budynki Fuji TV, Rainbow Bridge, mijając masę okropnie brzydkich wieżowców. Betonowo-stalowo-szklane konstrukcje, wysokie piętra – owszem, jest w tym rozmach, ale to wszystko jawi się brzydkie, zimne, niesymetryczne! Oko odpoczywa, gdy trafia się jakiś mały, nawet niepozorny domek przypominający europejskie. Świątynie – to zupełnie co innego!

Wieczorem kolacja w japońskiej rybnej restauracji, o czym napiszę już jutro.